

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SAM

Isabel weszła do salonu. Rozmawiała przez telefon. Rzuciła torebkę na kanapę, ledwie patrząc na mnie i Cole'a.

- Jak już mówiłam, mój pies ma atak padaczki – tłumaczyła rozmówcy. – Nie mam pod ręką samochodu. Jak mogę mu sama pomóc? Nie, nie chodzi o Chloe.

Spojrzała na mnie, wysłuchując odpowiedzi. Przez chwile gapiliśmy się na siebie nawzajem. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Isabel też się zmieniła. Włosy miała dłuższe, ale podobnie jak w moim przypadku, różnica tkwiła w wyrazie twarzy. Wyglądała obco. Byłem ciekaw, czy pomyślała tak samo o mnie.

Po drugiej stronie linii ktoś zadał pytanie.

- Od jak dawna to trwa? – zwróciła się do mnie.

Zerknąłem na zegarek. Dłonie miałem lodowate.

- Eee... jakieś sześć minut, od kiedy go znalazłem. Nie oddycha.

Isabel spojrzała na Cole'a, którego ciało wciąż przesywały fale drgawek, choć jego klatka piersiowa pozostawała nieruchoma. Wyglądał niczym reanimowane zwłoki. Kiedy zobaczyła strzykawkę, powieki jej zadrgały. Odsunęła telefon od ust i szepnęła:

- Mówią, żeby przyłożyć mu lód. Do karku.

Wyjąłem dwie torebki z frytkami z zamrażarki. Gdy wróciłem, Isabel już nie rozmawiała przez komórkę. Kucąca przed Cole'em – ryzykowna poza w jej wysokich obcasach. Było coś uderzającego w jej postawie, w przechyleniu jej głowy. Wyglądała niczym piękne i samotne dzieło sztuki, czarujące, ale niedostępne.

Ukląknę po drugiej stronie Cole'a i przycisnąłem torebki do jego karku. Czułem bezsilność. Musiałem walczyć ze śmiercią, a jedyną bronią, jaka dysponowałem, były mrożone frytki.

- Teraz – wyrecytowała Isabel – zawierają trzydzieści procent mniej sodu.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że po prostu przeczytała napis na opakowaniu.

Głos Cole'a popłynął z głośników, seksowny i sarkastyczny. *Jestem zbędny* – zaśpiewał.

- Co on sobie zrobił? – zapytała, odwracając wzrok od strzykawki.

- Nie wiem – przyznałem. – Nie było mnie tu.

Isabel wyciągnęła dłoń, żeby zabrać jedną z torebek.

- Głupi gnój.

Zauważyłem, że drgawki stają się coraz słabsze.

- Uspokaja się – powiedziałem. A ponieważ czułem, że nadmierny optymizm mógłby oznaczać kuszenie losu, dodałem: - Albo jest martwy.

- On żyje – zaprotestowała Isabel, jednak w jej głosie brakowało pewności.

Wilk leżał nieruchomo, z głową odrzucona do tyłu pod groteskowym kątem. Moje palce były jaskrawoczerwone z zimna. Trwaliśmy tak w kompletnej ciszy.

Grace była już pewnie daleko od miejsca, z którego do mnie dzwoniła. Schwytnie jej wydawało się teraz równie mało prawdopodobne, co uratowanie życia Cole'a za pomocą mrożonych frytek.

Klatka piersiowa wilka nadal była nieruchoma. Nie wiedziałem, jak dużo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni zaczerpnął tchu.

- Cóż – mruknąłem cicho. – Cholera.

Isabel zacisnęła dłonie leżące na kolanach w pięści.

Ciało wilka wygięło się w kolejnym gwałtownym spazmie. Zwierzę zamłóciło łapami w powietrzu.

– Lód! – warknęła Isabel. – Sam, obudź się!

Ale ja się nie poruszyłem. Byłem zaskoczony tym, jaką ulgę odczułem, gdy ciało Cole'a zaczęło drgać i nabrzmiewać. Rozpoznawałem ten nowy ból – to była przemiana. Wilk szarpał się i trząsał. Futro w jakiś sposób zamieniło się w skórę, łapy przeistoczyły się w palce, ramiona zafalowały i rozszerzyły się, a kręgosłup wygiął w łuk. Ciało wilka rozciągnęło się w niemożliwy sposób, mięśnie pulsowały pod skórą, kości tarty o siebie nawzajem.

Po chwili Cole w ludzkiej postaci leżał na podłodze, dysząc ciężko, z ustami zabarwionymi błękitem, a jego palce kurczowo chwytały powietrze. Wciąż widziałem, jak jego skóra rozciąga się i formuje na nowo wokół żeber. Zielone oczy chłopaka pod wpróżymkniętymi powiekami poruszały się powoli, niemal niedostrzegalnie.

Usłyszałem, jak Isabel głośno wciąga powietrze. Pomyślałem, że powinienem ją ostrzec, żeby odwróciła wzrok. Położyłem jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Świetnie – odpowiedziała zbyt szybko, żeby to mogła być prawda.

Nikt nie mógłby się czuć świetnie po zobaczeniu czegoś takiego.

Z głośników popłynęła jedna z najpopularniejszych piosenek „NARKOTIKI”, a Cole zaśmiał się cicho, śmiechem kompletnie pozbawionym poczucia humoru.

Isabel wstała, z wściekłym wyrazem twarzy, jakby ten śmiech stanowił dla niej policzek.

– Zrobiłam swoje. Pójdę już.

Cole złapał ją za kostkę. Jego głos był bełkotliwy.

– IshbelCulprepr. – Zamknął oczy, a potem znowu je otworzył. Źrenice miał wąskie jak szparki. – Wiszcorobić – przerwał. – Po sygnale. Biip.

Spojrzałem na Isabel. W tle Victor pośmiertnie uderzał w perkusję.

– Następnym razem spróbuj się zabić na zewnątrz – rzuciła do Cole'a. – Sam będzie miał mniej sprzątnia.

– Isabel! – zareagowałem ostro.

Ale Cole'a najwyraźniej to nie obeszło.

– Ja tylko... - zaczął powoli, ale przerwał. Jego usta wreszcie odzyskały normalną barwę. – Ja tylko próbowałem znaleźć...

Umilkł i zamknął oczy. Mięsień na jego łopatce wciąż drgał, jakby żył własnym życiem.

Isabel przestąpiła nad nim i porwała torebkę z kanapy. Ściągnęła brwi i wlepiła wzrok w banana, którego tam zostawiłem, jakby to była najbardziej niewytłumaczalna rzecz, jaką dzisiaj widziała.

Myśl o zostaniu teraz sam na sam z Cole'em, a do tego z Cole'em w takim stanie, wydała mi się nieznośna.

– Isabel! – zawołałem. Zawahałem się jednak. – Nie musisz iść.

Znowu spojrzała na Cole'a i zacisnęła usta w jedną bezwzględną linijkę. Na jej długich rzęsach zalśniło coś wilgotnego.

– Przykro mi, Sam – powiedziała.

Wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi wystarczająco mocno, żeby zadźwięczały wszystkie szklanki pozostawione przez Cole'a na blacie w kuchni.